TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 12. POZNAŃ dnia 21 Marca. 1862.

Przy zbliżającym się końcu bieżącego kwartału, pozwalamy sobie zawezwać Szanowną Publiczność do wczesnéj prenumeraty na kwartał drugi. Redakcya ze swéj strony będzie się starała, jak dotąd, o ciągłe udoskonalanie pisma. Od 5 numeru począwszy, powiększyła już jego objętość o połowę. W przyszłym kwartale powiększy go jeszcze prawie o drugie tyle, da lepszy papier i nowych poczęści użyje czcionek. Prócz korespondencyj dotychczasowych, zamierza umieszczać korespondencye jeszcze z innych miejsc polskich i słowiańskich, jako też z niektórych stolic Europy; obok dzieł będzie wymieniać ważniejsze rozprawy w czasopismach polskich się pojawiające, poruszać żywotniejsze kwestye naszego życia umysłowego, a oprócz innych większych artykułów będzie drukowała: opis podróży na wschód, przez jednego z pisarzy naszych odbytą, ciekawe szczegóły z życia, studia nad dziełami i wiadomości o stósunkach najznakomitszych naszych poetów, jako też obraz kobiety w powieści i kobiety w życiu przez jednego z naszych powieściopisarzy skreślony.

Głównem zadaniem Tygodnika Poznańskiego, wychodzącego co tydzień w Piątek, będzie i na dal, z wyłączeniem kwestyi politycznych, religijnych i socyalnych, przedstawiać obraz ruchu umysłowego w kraju i za granicą, dzielić się z Publicznością nabytkami poszukiwań na polu naukowem w formie przystępnéj i w tym celu będzie to pismo umieszczało: 1) rozprawy naukowe rozmaitéj treści, pamiętniki, życiorysy, opowiadania historyczne, opisy zajmujące, wiadomości i korespondencye o ruchu naukowym, artystycznym i przemysłowym w Polsce i za granicą; 2) przeglądy literatury bieżącéj, krajowéj i zagranicznéj; 3) rozmaitości z dziedziny nauk i przemysłu. — Abonoment kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar, dla zamiejscowych i na poczcie: w Prusach 1¼ tal., w Austryi na poczcie 2 fl. 5 kr. w. a., w księgarniach 2 fl. sr.; w Królestwie Polskiem na poczcie i w księgarniach 1½ rs. — Prenumerować można Tygodnik w Redakcyi, po wszystkich expedycyach pocztowych w kraju i za granicą i we wszystkich księgarniach, a głównie: w Krakowie u Friedleina, we Lwowie u Wilda, w Warszawie u Celsa Lewickiego, Gebethnera i Okońskiego; w Wilnie u Orgelbranda i Zawadzkiego, w Petersburgu u Wolffa.

Redakcya nadeśle numera pierwszego kwartału gratis i będzie następne nadsyłała franko, co tydzień regularnie do najbliższéj stacyi pocztowéj, tym z prenumeratorów, którzy się zaabonują na trzy następne kwartały i zapłacą porto za przesyłkę kwartału pierwszego, przesyłając wprost do Redakcyi 4 talary, albo 8 fl. w. a. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane pod adresem podpisanego Redaktora.

PAMIĘTNIKI
króla Poniatowskiego.

(Ciąg dalszy).

ANEGDOTA O CESARZOWEJ,
odnosząca się do mojéj elekcyi.

Na kilka tygodni przed oznaczonym już dniem mojéj elekcyi cesarzową ogarnęła obawa, żeby moja elekcya nie ściągnęła na nią zbyt wielkich nieprzyjemności, a może nawet i wojny ze strony Turków; wbrew więc zdaniu Panina, napisała do Kayserlinga, że ponieważ lęka się narazić cesarstwo i siebie na jakie niebezpieczeństwo, przez ciągłe popieranie mnie na kandydata do tronu, rozkazuje mu nieryzykować formalnéj rekomendacyi mojéj osoby, lecz działać, o ile możności, jak najostrożniéj. Panin domyślając się tego, ośmielił się dołączyć ze swéj strony kilka słów do Kayserlinga: „Nie wiem, co cesarzowa do Was pisze; lecz po wszystkiem, cośmy dotychczas uczynili, honor naszéj monarchii i cesarstwa wymaga, ażebyśmy dokonali zaczętego dzieła, gdyż cofając się, bardzobyśmy sobie mogli zaszkodzić. Postępujcie więc tak, jak dotąd, a ja biorę na siebie całą odpowiedzialność.“

Kayserling odważył się nie wypełnić rozkazów cesarzowéj i poszedł za radą pierwszego jéj ministra. Wygotował urzędownie akt polecający mnie w imieniu cesarzowéj, a ponieważ był chory, nie mogąc go sam wręczyć osobiście prymasowi, jak się to działo przy poprzednich elekcyach, przesłał go przez barona Asche, sekretarza poselstwa i elekcya odbyła się prawie jednogłośnie i tak spokojnie, że nawet wiele kobiet znajdowało się na polu elekcyjnem pośród szeregów szlachty i nie przytrafił się żaden przypadek, wyjąwszy, że koń, kopnąwszy S. Troja-

nowskiego w nogę, złamał mu ją. Wiele dam łączyło swe głosy z okrzykami wydawanemi po kolei przez szlachtę z różnych województw, gdy prymas objeżdżając szeregi w otwartym powozie, odbierał z rąk marszałków każdego województwa lub pierwszych senatorów podpisy obecnych. — Ogólna liczba podpisów, jak to już wyżéj powiedziałem, wynosiła . . . . Kilka osób zajęło się policzeniem osób otaczających pole elekcyjne i zgodziło się z małą różnicą na summę 25,000 osób, z których żadna nie podniosła głosu przeciwko mnie.

Cesarzowa pisząc nieco późniéj poufny list do P. Geoffrin, tak się o mnie wyraziła: *Wychowaniec Wasz został królem, sama nie wiem, jakim sposobem;* które to miejsce widziałem w oryginale na własne oczy. Jest to więc najlepszym dowodem, że przy końcu nie miała zamiaru popierania mnie. Lecz polityka kazała mi udawać, jak gdybym był przekonany, że użyła wszelkich środków, ażeby mnie tylko na tronie osadzić.

(Dokonczenie nastąpi).

TEOFIL LENARTOWICZ.

(Ciąg dalszy).

II. *Kierunek jego poetyczny.*

Jakie poeta, a raczéj sztukmistrz, jako estetyk, winien zająć stanowisko względem swego czasu, o tem mówi jeden z nowszych poetów:

„Artysta jest wprawdzie synem czasu, wśród którego żyje; źle wszakże dla niego, jeźli zarazem jego jest wychowańcem i zwolennikiem. Dobroczynne Bóstwo niechaj wyrwie niemowlę zawczasu od piersi matki, niechaj nakarmi je mlekiem lepszego wieku, niechaj pod odległem niebem Grecyi dojrzeje na męża. Gdy na męża wyrośnie, niechaj wróci jako obca postać i stanie wśród wieku swego; ale nie dla tego, aby go ucieszyć swoją istnością, ale okropny jak syn Agamemnona, aby go czyścił. Materyał niechaj bierze z teraźniejszości, ale formę z owych szlachetniejszych czasów, tak zpoza krańca wszystkich czasów, od absolutnéj, niezmiennéj jedności swéj istoty. Tutaj z czystego eteru jego boskiéj natury sączy się źródło piękności, niezarażone zepsuciem plemion i czasów, które nizko mętnemi potoki płyną.

„W jakiż więc sposób artysta ujdzie zepsuciu czasu, które go zewsząd otacza?

„Tylko tem, że pogardzi jego sądem. Z okiem wzniesionem w górę niechaj patrzy swéj godności i swojego prawa, a niechaj nie zniża swego wzroku na dół za szczęściem i potrzebą.“

Zgłębienie ducha staréj Grecyi, tak wymownie wywiedzione w powyższych paru słowach, jest zapewne szkołą przygotowawczą tak dla poety, jak dla historyka. Wszakże jeżeli ono jest niezbędnem dla dramatyka i epika, nie jest ono w téj saméj mierze koniecznem dla liryka. Znaczenie dzieł starożytnéj sztuki polega głównie na plastyczności czyli posągowości formy, prócz tego na stałości i nieodmienności téjże. Liryzm zaś, jako taki, nie jest plastycznym, ale raczéj muzycznym; liryzm nie jest rzeźbą, ale muzyką; nie jest on nadto przywiązanym do pewnych, stałych form. Jak kipiąca prądem rzeka rwąc brzegi nowe toruje koryta, tak uczucie, przemawiające z poezyi lirycznéj, w coraz nowych objawia się formach.

Lenartowicz, jako liryk, w części przynajmniéj brak znajomości greckich pisarzy zastąpił zgłębianiem poezyi ludowéj. Poezya bowiem ludowa jest tem dla poety-liryka, czem jest studium pięknego ciała ludzkiego dla rzeźbiarza, czem melodya ludowa dla muzyka, czem piękno natury dla malarza. Piękno natury nie jest mistrzynią sztuki, ale jéj matką, nie jest jéj modłą, ale źródłem. — Lenartowicz wczytując się w poezyą ludu, nie jest jéj naśladowcą; przejąwszy się jéj myślą, przeobraża ją w duchu. Często poezya ludowa jest mu tematem, który rozsnuwa w cudownie piękne, nęcące prostotą a naiwnością obrazy.

I tak z wierszyka ludowego:

„A ja sobie durny dumau szczo zorońka zyjszła,
A to moja luba diwka po wodońku wyjszła,“

powstała bodajnie jego Wiochna.

Lenartowicz zgłębiając poezyą ludową, gdy jeszcze żył wśród mazowieckich lasow, zajrzał okiem badacza w serce bijące pod zdartą siermięgą i stworzył typy ludowe, nie eleganckie, nie wytworne formą, ale czyste, jasne, choć okopcone promieńmi skwarnego słońca, które śladami cieni się znaczą na pogodnem czole.

Ztądto powstały wiersze:

Mazur, Ukrainiec, Wiochna, Dziewczyna, Górale, Mazur za wołami.

A jakaż to postać, jakiż bohater ów Mazur za wołami? — On chwali sobie, że gaje szumią w równinie, ani świata zobaczy, jak stryj brodę rozwinie, chwali swoją rolę i chatę i poszyte stodołki i bydełko rogate i dwa konie i pszczółki i kobietę Jagusię i dzieciątko malusie. —

Mazur wszakże ma inne jeszcze życzenia, gdy mówi:

„Na zachodzie pogoda,
w jasnem niebie wesele,
dał Bóg ludziom oj wiele,
może jeszcze co doda,
może zboża dorzuci,
może kraj nam przywróci.

Zdrobniałe wyrazy, jakich mnóstwo napotykamy w wierszach T. Lenartowicza, naśladujących ton ludowy, znamionują często poezyą ludową. I tak np. w wierszu:

„Oj poczekaj, poczekaj Kasieńko,
Oj mam gadeczkę, zagadnę ci ją
Leluja!“
Cóżbym ja była za krasna panna,
Żebym gadeczki zgadnąć nie umiała?
„A cóż rośnie bez korzenia?“
Kamień rośnie bez korzenia.
„A cóż kwitnie bez kwiateczka?“
Oj paproć kwitnie bez kwiateczka.
„A cóż gore bez płomienia?“
Cnota gore bez płomienia.

Do tego rodzaju poezyi, napiętnowanych cechą naiwności, należy: Wiochna, daléj wiersze, jak: Kapryśna, Nad Wisłą, Jagoda. — Naiwność pojmujemy

w życiu zazwyczaj w znaczeniu ujemnem; lubo ściśle wziąwszy, ma ono charakter przeważnie dodatni. Naiwność np.: w pożyciu objawia się w sprzeczności obyczaju właściwego pewnéj osobie z obyczajem przyjętym przez ogół towarzystwa. Naiwność zatem polega na kontraście wrodzonéj człowiekowi otwartości z sztuką udawania. Ztądto naiwność wszelka mimowolnie w zdumienie nas wprawia: spodziewając się albowiem spotkać się z przyjętym raz na zawsze obyczajem, znachodzimy natomiast czystą, niewinną i niezepsutą naturę. Naiwności cechą, która czasami w manieryzm wpada, napiętnowanych jest dużo wierszy Lenartowicza z różnych epok jego poetycznego działania.

Téjto prostocie myśli, w stósowną przyobleczonéj formę, zawdzięcza Teofil Lenartowicz, iż tego dostąpił zaszczytu, że go dzieci polskie rozumieją, że poezyi jego bez przymusu się uczą na pamięć. „Dzieci (powiedział Jean Paul) są naszymi panami, my na nie pracujemy. Kogo dzieci zrozumieją i ukochają, jest godnym chwały, bo wpływ jego w odległą sięga przyszłość.“ — A jednakże ta prostota, dzieciom pojętna, jest tylko mędrców udziałem. Trzeba być mężem głębokiego ducha, aby z prostotą a niewinnością gołębia zstąpić w nizkie sfery pojęcia dziecka, aby drzemiące w niéj władze duchowe poruszyć; a rozbudziwszy je, unieść ze sobą. Lenartowicza Zachwycenie i Błogosławiona, jego Mały Światek trzeba usłyszeć z ustek niewinnéj dzieciny, aby uczuć właściwy ich urok i poznać ich rzetelną wartość.

Lenartowicz, jako poeta narodowy, szuka typów do swych obrazów nietylko ze sfery prostego ludu, ale równie z wyższych sfer społeczeństwa. Pięknym obrazem jest jego Niewiasta. Jest-to wizerunek polskich matron. — Napotykamy utarte zdanie, że tylko młodość zdobi blask ideału. Zdanie to jest całkiem mylne. Jak zimowy krajobraz, szklący się milionami drobnych światełek, choć jednostajny i niebogaty rozmaitością wiosny, jest przedmiotem godnym pędzla malarza, tak starość, tak wiek podeszły, tak postacie naszych ojców i naszych matek, pełne prostoty i niekłamanéj prawdy, oświecone potężnym blaskiem miłości, któréj promienie ogrzewają i ożywiają naokół, co ich otacza, tak i te postacie są bogate w te przymioty, jakich poeta szuka w życiu. Matrony nasze, stanąwszy na straży domowéj cnoty i domowego obyczaju, łącząc u domowego ogniska jedności węzłem, co waśń i niezgoda rozerwie poza domem, są społeczeństwu tym duchem, który ziemię z niebem godzi. Pełne najprawdziwszego poświęcenia jaśnieją czystem światłem powagi, cnoty i dobroci. Ponieważ w ich sercu obok tych cnót domowych mieści się gorąca, prawdziwa miłość wspólnego dobra, przeto jaśnieją nam jako ideały prawdziwéj kobiecości ziemskiéj.

Z téj-to strony ujął Lenartowicz charakter naszych matron. Przypatrzmy się jego obrazkowi bliżéj.

Żywot jego Niewiasty płynie cicho, jako źródlane strumienie, rannem światłem malowane, chociaż jednakowo dni swe przebywa, jak kółko, które przędząc, potrąca. W zamkowéj sali brzęczą puhary, przed zamkiem grają polowe ogary; odziani w rysie, brodaci mężowie piją przy stołach Lesi Lechitowie, trzęsą brodami, błyskają oczami, jak tury leśne okryci blachami. A niewiasta pokorna cicho pochylona słucha słowa, które jéj mnich stary czyta z psałterza, a gdy się z mężem znachodzi, to jak duch, który ziemię z niebem godzi.

„Ani ją skrzynie złotem ładowne
Ani ją szaty w drogie perły dziane,
Ni osobliwe uwodzą klejnoty.
Wszystko jéj fraszką okrom jednéj cnoty.
Czyli w kaplicy z książką klamrowaną,
Z gotyckich liter pacierz czyta rano,
Czyli po siole chodzi podzamkowem
I lud uzdrawia lekarstwem gotowem,
Czyli u sioła, czyli u przęślicy
Wszędy w niéj obraz pańskiéj służebnicy
Miałeś wyraźny, a tak się zdawało,
Jakoby od niéj światło odbijało.
A gdy mąż pojedzie z chorągwią pancernych,
Daj Boże pobić Tatarów niewiernych,
To już jak lilija co rano na wałach stawa,
Postać biała
I tęskna patrzy na wody i góry,
Czy nie świeci hełm z strusiemi pióry.“

Na ołtarzu składa ofiary codziennie; wszystko to ona czyni w pokorze, aby dla kraju zjednać łaski boże.

„A cóż jéj ta ziemia daje z siebie?
Twarde posłanie, ubożuchne szaty,
Posty i ciche mieszkanie za kraty;
Lecz wszakże ubóstwo ziemskie, to bogactwo w niebie.

Za to, gdy Bóg ją powoła do siebie, lud biedny żałuje jéj szczerze, zaniesie ją w groby zakonnie ubraną i w snach ją swoich zobaczy w przedrano.

„Aleć to naszéj matki jednéj strona,
Jedna jakby duchem w górę podniesiona;
A toć jeszcze więcéj cnót jéj dano.
A jako w złotą lamę ją odziano,
Że z każdéj strony ożywiona cnota,
Niebieskim duchem świeciła jak złota.
Bo nie ma dla niéj, coby nie oddała,
Byleby ziemia wolność swoją miała.
Fraszka bogactwo, poświęci krew swoją,
Gdy jedynaka wyprawia na boje.
I łez nie leje, bo ją uczy wiara,
Jak miła Bogu dla ziemi ofiara.
Od takiéj matki córka bierze wiano,
Stare powieści i modlitwę rano.
. . . .
Gęślić nie umie, ani perorować,
Lecz się w nieszczęściu potrafi zachować.“

Drugim Lenartowicza obrazem w tym rodzaju jest jego Rodzic w postaci starego wojewody. Prawdziwy to rycerz; pełen przymiotów zacnych, prywatnych i publicznych jest jego charakter. Na zbroi biała wisi mu broda; gdy idzie, obuwie z żelaza robione, wydaje dźwięk jakby zwolna w bronę młotem uderzał; gdy spojrzy z daleka chociaż łaskawie, to coś przejdzie aż na wskroś.

„Dumny dla świata, pokorny dla Boga,
Barankiem dla braci, a lwem jest dla wroga.
Z dawien do kniei stary nie wychodzi,
Lecz ma swe lwiątko, które już wywodzi,
Na tego wiesza tarczę z srebrnym herbem
I miecz nie jednym naznaczony szczerbem.
Nie patrzcie, iż ten dzieciuch wątłéj duszy,
I że mu ledwie złoty mech się puszy.
Ale spojrzyjcie, jak się iskrzą oczy,
I jak to rośnie, kiedy na koń wskoczy.
Szlachectwo (mówi) to nie przywileje,
Lecz zakon, w którym duch miłości wieje.
A ten płaszcz herby wyszyty srebrnemi,

Który się za nim powłóczył po ziemi;
Jak stary sztandar śrebrzyste świadectwo
Ran odniesionych poświęceń szlachectwo.
Więc kto płaszcz taki na ramionach trzyma,
Duchy z nim chodzą i rośnie w olbrzyma;
A jeźli znaki swych ojców znieważy,
pada nań klątwa, wstyd bije po twarzy."

(Dokończenie nastąpi).

JAN NEPOMUCEN ROMANOWSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

W jesieni przeszłego roku (27 Października) umarł w Pau, w południowéj Francyi, Jan Nepomucen Romanowski. Straciliśmy w nim gorliwego badacza dziejów ojczystych i człowieka wielkiéj zacności charakteru. — Pragnęlibyśmy, aby ta chluba, któréj ośmielamy się dać publiczne świadectwo, przechowała się, jak się przechowa jego imię, które sobie w literaturze zapewnił nieustanną pracą, któréj się oddawał z prawdziwem poświęceniem, bo poświęceniem zdrowia, a w końcu i życia. Należał on do rzędu tych ludzi, co jedynie w pracy znajdują zadowolnienie, pociechę i rozrywkę, ale niestety i zaród śmierci. Rychła choroba piersiowa trawiła powoli siły ciała, nie umniejszając gorliwości.

Romanowski urodził się dn. 21go Kwietnia r. 1831 w Śmiełowie pod Żerkowem z ubogich rodziców; kształcił się w Śmiełowie i w szkole miejskiéj w Wrześni, a staraniem dziedzica Śmiełowa oddany został r. 1843 do gimnazyum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu, w którem 9 lat przebywał i w którem r. 1852 uzyskał zaświadczenie dojrzałości. Nie należał do zdatnych uczni, odznaczał się tylko zamiłowaniem do rzeczy ojczystych. Na uniwersytecie w Berlinie utrzymywany przez przyjaciół, poświęcał się nauce historyi w téj myśli, aby po złożeniu przepisanych egzaminów poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu. — Rozpoczęte w Berlinie studya przyjechał kończyć w Wrocławiu na Ś. Michał 1855 r. Tutaj, z nadwątlonem już zdrowiem, pracował nad rozprawą doktorską, w któréj pierwotnie miał zamiar zbadać i rozjaśnić stósunki Litwy do Polski po wstąpieniu Władysława Jagiełły na tron polski; przecież dla braku źródeł i dla nierozwikłanych w kronikarzach trudności, zarzucił ten temat i napisał rzecz o Konradzie Mazowieckim, czyli raczéj o pierwszych zakonu Krzyżackiego do Konrada stósunkach. (De Konradi, ducis Masoviae, atque ordinis Cruciferorum prima mutuaque conditione, w Poznaniu u Zoerna 1859). Przypadek zdarzył, że prof. lyceum heilsberskiego, Dr. Watterich, nie wiele co wcześniéj ogłosił dzieło podobnéj treści pod tytułem: „Die Gründung des Ordensstaates in Preussen." Poszukiwania dwóch badaczy podjęte niezależnie i równocześnie, do tych samych doprowadziły rezultatów. Po wiele razy krytyka historyczna obchodziła podobne tryumfy, ztąd też zbyteczne były śp. Romanowskiego obawy, aby w publiczności nie posądzono go o plagiatorstwo. — Rozprawa o Krzyżakach nie była pierwszą Romanowskiego pracą; napisał on był już wcześniéj rozprawę historyczną: o zakonie braci Dobrzyńskich, niejako przedwstępne studium do swoich badań o Krzyżakach. Rzecz ta była drukowaną w Bibliotece Warszawskiéj w Styczniowym poszycie na rok 1856. Po złożeniu egzaminu doktorskiego przyjął ofiarowane sobie przez śp. Tytusa hr. Działyńskiego miejsce bibliotekarza przy bibliotece kórnickiéj, nie porzucając myśli złożenia egzaminu pro facultate docendi i nie tracąc nadziei, że po odzyskaniu zdrowia będzie się mógł poświęcić zawodowi publicznemu. Nowe obowiązki swoje pełnił z gorliwością, niosąc śp. hr. Działyńskiemu we wszystkich jego przedsięwzięciach naukowych chętną pomoc: układał materyały do wydawnictwa dokumentów o unii lubelskiéj. Kiedy się w Poznaniu zawiązało Towarzystwo Przyjaciół nauk, Romanowski należał do pierwszych jego członków i do pierwszego Rocznika tegoż Towarzystwa napisał rozprawę ważnéj treści: Wojna Zygmunta Augusta z zakonem Inflanckim roku 1557, czerpiąc głównie z rękopisów kórnickich. Prace Romanowskiego o zakonach północnych są wielkiéj wagi; historya nadbałtyckich prowincyi przez naszych historyków zaniedbywana lub omijana, straciła w nim jednego z nielicznych gorliwych pracowników. Ostatnią, a najważniejszą Romanowskiego pracą są: Otia Cornicensia, wydane u Merzbacha w Poznaniu roku 1861; jest-to zbiór rozrozpraw, pomiędzy któremi pierwsze z wartości miejsce zajmuje rozprawa o stanowisku duchowieństwa w Polsce aż do czasów Zygmunta Augusta.

Na wiosnę r. 1861 udał się śp. Romanowski za staraniem i pomocą rodziny Działyńskich, przez Paryż do Arcachon, a nie znalazłszy tutaj ulgi w cierpieniach, do Eaux-bonnes, wreszcie do Pau, gdzie w domu Sióstr miłosierdzia skończył pasmo kłopotliwego i pełnego cierpień żywota.

LITERATURA LUDOWA.

Ludzie średniemi tylko obdarzeni zdolnościami i zasobami materyalnemi, ale przejęci prawdziwem, bezinteresownem zamiłowaniem dobra publicznego, są nie raz w stanie daleko zbawienniejszy wywrzeć wpływ na społeczeństwo, niż najzdolniejsi i najmajętniejsi, ale powodujący się próżnością nawet w swych dobroczynnych przedsięwzięciach; prawdziwa albowiem miłość, ciągle nowych zyskująca sprzymierzeńców i niczem z toru zbić się niedająca, jest w daleko wyższym jeszcze stopniu twórczą, niż bieda i własna potrzeba.

Tego dowodem są reprezentanci literatury łużyckiéj. Lud łużycki, w liczbie około stutysięcy mieszkańców, ze wszech stron otoczony niemczyzną, tak pod względem politycznym, jako i religijnym na dwie rozerwany części, należąc w połowie do królestwa saskiego i kościoła katolickiego, a w połowie do Prus i kościoła protestanckiego, pozbawiony swoich naturalnych przewodników, jakiemi są: szlachta, księża, urzędnicy, zamożni kupcy i fabrykanci, zdawał się być skazanym w najbliższym czasie na zupełną, pod względem narodowości, zagładę; tem bardziéj, że ani wspomnienia wspaniałéj przeszłości, ani widoki świetnéj przyszłości do utrzymania narodowéj odrębności zachęcać i zagrzewać go nie mogły. W porównaniu do nich można nazwać położenie pruskich Mazurów, dotąd liczących około czterysta tysięcy ludności polskiéj i stykających się z jednéj strony z Kongresówką i polskiemi po największéj części Prusami Zachodniemi, a z drugiéj z Litwą i położenie Górno-Szlązaków, około jeden milion ludności liczących i o Polskę, Morawy i Czechy opartych — w ogóle jeszcze świetnem. Tylko pod wzglę-

dem nędzy i ciemnoty były te trzy ludy całkiem ze sobą zrównane; były jeszcze przed kilkunastu laty, ale dziś już nie są. Znalazło się paru ludzi dobréj woli, którzy jeden z tych ludów w przeciągu lat kilkunastu dźwignęli z ciemnoty i nędzy. Nie byli to wszakże bynajmniéj światli, wielkoduszni i zamożni z sąsiednich Prus Zachodnich, Kongresówki albo Litwy panowie, jakbyśmy może skłonni byli sądzić, którzyby się zajęli losem swych nieszczęśliwych ziomków w Prusach Wschodnich; ani też z W. Księstwa, Królestwa lub Galicyi, poświęcający się dla dobra swych rodaków w Górnym Szląsku kapłani — ale byli to ubodzy łużyczcy bakałarze, jak Smoler i jego towarzysze, którzy za pomocą pism i towarzystw postanowili lud swój dźwignąć. Żadnemi nie dali się od tego wstrzymać trudnościami, choć były niezmierne. Sami jedni musieli, obok swych trudów obowiązkowych, zająć stanowisko autorów, drukarzy, księgarzy, kolporterów i lektorów swoich własnych płodów. Potworzyli drukarnie, księgarnie, nową pisownię, czytelnie, biblioteki i towarzystwa pomiędzy ludem i osiągnęli tym sposobem rezultaty, jakich się pierwotnie sami pewnie nie spodziewali. Dosyć powiedzieć, iż każde ich czasopismo (a wychodzi ich kilka), ma więcéj abonentów, niż którekolwiek polskie pismo, a lud łużycki stał się oświeceńszym, pracowitszym i zamożniejszym, od wszelkich innych w Niemczech.

Kiedy znakomity nasz historyk, biskup Albertrandy, na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół nauk opowiadał, że będąc w C z e c h a c h słyszał lud tamtejszy mówiący językiem nadzwyczaj do polskiego podobnym, uważano to za nader ciekawe odkrycie. — D o b r o w s k i, w kilkanaście lat późniéj, wydając jako osobliwość swoją gramatykę języka czeskiego, po niemiecku pisaną, uważał za potrzebne powiedzieć w przedmowie, że go nikt zapewnie nieposądzi o ten śmieszny zamiar, jakoby wykształceni ludzie z jego gramatyki mieli się uczyć mówienia albo pisania językiem czeskim. I nic dziwnego, gdyż za jego czasów tylko już sam lud prosty po wsiach mówił po czesku, szlachta czeska już dawno była się zniemczyła; podobnież kupcy i rzemieślnicy; wszyscy urzędnicy byli Niemcami, niemniéj i wyższe duchowieństwo. Po wszystkich urzędach, szkołach i sądach, wyłącznie tylko niemieckiego używano języka. Wszystkie miasta były niemieckie, cały pas graniczny kraju całkiem zniemczony; ludność niemiecka była w ogóle, nie tylko pod względem inteligencyi i zamożności, ale i pod względem liczby, w kraju przemagającą. — Któżby się wtedy był mógł spodziewać, że za lat kilkadziesiąt język czeski zabrzmi na salonach, katedrach, mównicach, sądach i urzędach; że nim będą pisali i drukowali najuczeńsi mężowie swego czasu, że on odżyje znów po miastach, że szlachta i magnaci z zapałem uczyć go się będą, że nawet książęta i cesarze będą nim mówili? Któżby się był spodział, że ten lud czeski, dogorywający już za Albertrandego pod naciskiem niemczyzny, odżyje jeszcze kiedyś i nietylko otrząśnie się z obcych naleciałości, ale postawiony w samym prawie środku świata niemieckiego posięgnie po swą samodzielność i nietylko powstrzyma dalszą germanizacyą swego kraju, ale że ją nawet krok w krok będzie wypierać, tak, że dziś już ledwie jedna trzecia część ludności Czech jest niemiecką? I któż to wszystkich tych cudów dokazał i jakim sposobem? Otóż znów kilku nauczycieli i księży i to także za pomocą pism ludowych i stowarzyszeń. My drukujemy i sprzedajemy zaledwie kilka set albo kilka tysięcy egzemplarzy dzieł i książek polskich; Czesi tymczasem drukują i sprzedają ich ze sto tysięcy egzemplarzy.

Za pomocą tych samych środków zaczęła się w najnowszych czasach dźwigać narodowość i literatura S ł o w e n ó w, zamieszkałych w Styryi, Karyntyi, Krainie, Dalmacyi, Istryi, a nawet we włoskim Friolu; narodowość już od lat tysiąca przez obce żywioły przytłumiona i bezwiednie drzymiąca.

W ten sam sposób odżyła w przeciągu lat kilkunastu ludność polska w S z l ą z k u a u s t r y a c k i m.

A cóż u nas w tym względzie uczyniono? Ze wstydem wyznać musim, iż w porównaniu z tem, co gdzieindziéj zdziałano i coby u nas uczynić można, niceśmy prawie dotąd niezrobili. Jakaż tego przyczyna? Czyby nasz lud mniéj zmysłu miał do czytania od ludu łużyckiego, czeskiego, słoweńskiego i górnoszlązkiego? — Tak nie jest. Wiemy wszyscy, jak ongi, za czasów Ligi polskiéj, lud nasz pożerał formalnie wszystko to, co mu czytano z W i e l k o p o l a n i n a i z W i a r u s a. Czemuż wszelako upadły te pisma?

Raz straciły one na interesie, gdy ruchy polityczne w Europie ustały, ponieważ to były przedewszystkiem pisma polityczne; powtóre upadły one razem z ligami, które je głównie i jedynie prawie podtrzymywały. — I przez długi przeciąg czasu nie wychodziło u nas żadne pismo ludowe, aż wreszcie w Warszawie zaczęto wydawać C z y t e l n i ę n i e d z i e l n ą. Było to pierwsze pismo, które zupełnie odpowiadało swemu zadaniu, bo wywołało je też prawdziwe przywiązanie do ludu i troskiwość o jego dobro. Pomimo, że nauka czytania, dla braku szkółek elementarnych w Kongresówce, nie jest rozpowszechniona, to jednak zyskało to pismo w krótkim czasie więcéj tysięcy abonentów, niż Wielkopolanin i Wiarus miał setek.

Ten przykład dopiero, a nie mniéj może i sukces, wywołał liczne naśladownictwo. Zaczęły się pojawiać inne pisma ludowe, jak: K m i o t e k z illustracyami w saméj Warszawie, D z w o n e k we Lwowie, ks. Tomickiego S z k ó ł k a n i e d z i e l n a w Kościanie, księdza Koszuckiego R o k w i e j s k i w Ostrowie i P r z y j a c i e l L u d u w Chełmnie, w Prusach Zachodnich; G w i a z d k a C i e s z y ń s k a, N a d w i ś l a n i n i P o s t ę p są znów przeznaczone i bardziéj zastósowane do potrzeb i stopnia wykształcenia ludności miejskiéj. — Książki dla ludu także wydawano, ale niewiele z nich tak pod względem treści, objętości, języka, jako też szszególnie pod względem ceny do ludu było zastósowanych. —

Wpływ tych pism i książek nie został bez znaczenia; mieliśmy go sposobność spotrzegać zeszłego roku przy wielu okolicznościach. Lecz zaczął on na dobre dopiero oddziaływać, kiedy plebanie i dwory poczęły się zamieniać na szkoły elementarne; kiedy rozmaitego rodzaju czytelnie zakładać rozpoczęto. Na wzór Resursy kupieckiéj w Warszawie i Kółka towarzyskiego w Poznaniu zaczęli zakładać Kółka towarzyskie po innych miastach; jedne obywatele, księża, kupcy i urzędnicy; inne znów rzemieślnicy na wzór Czytelni cieszyńskiéj i Towarzystwa przemysłowego w Poznaniu; inne czeladź rzemieślnicza na podobę Towarzystwa czeladzi katolickiéj we Lwowie; a na podobę tych wszystkich zaczęli wreszcie wieśniacy po parafiach zakładać Kółka towa-

rzyskie, z któremi są czytelnie pism czasowych, a nie raz i książek polskich połączone. W Czechach i Łużycach istnieją takież ludowe Czytelnie. Kółka towarzyskie, czyli, jak oni je tam nazywają, Biblioteki gminne w każdéj wiosce. I w Królestwie Polskiem zaczęto już, nietylko w parafiach, ale i we wszystkich innych wioskach zakładać czytelnie i biblioteki ludowe.

Powiedziałem, że literatura ludowa i wpływ jéj zaczęły się dopiero wzmagać od czasu, jak zaczęto zakładać czytelnie czyli kółka towarzyskie po wszystkich miastach i parafiach. — I nic naturalniejszego. — Jeżeli nie wielu jest obywateli, którzyby wszystkie polityczne pisma polskie trzymać byli w stanie, o ileż mniéj jest włościan albo rzemieślników, którzyby choć jedno pismo ludowe mogli lub chcieli dla siebie utrzymywać! Jeżeli zaś do czytelni niedzielnéj ze stu należy członków, a każdy z nich choć tylko 3 gr. p. na miesiąc płaci, to oprócz dodatku księdza i dziedziców czyni to na rok 20 tal., za co już można wszystkie utrzymywać pisma ludowe i osobny nająć na czytelnią lokal, co jest niezbędnie potrzebnem, gdyż gmach szkólny nie zawsze i nie wszędzie jest przystępnym i dogodnym, — a karczma do wyłożenia pism użyta, więcéj szkody, niż korzyści z czytania przynosi. Dobroczynny bowiem wpływ czytania pism i książek wynika głównie z téj okoliczności, iż od karczmy i pijatyki odwodzi. Wieśniacy i rzemieśnicy nasi, napracowawszy się ciężko przez cały tydzień, czują potrzebę wytchnięcia i rozerwania się choćby pogawędką w Niedzielę. Nie chcąc nachodzić swych sąsiadów, o których nie zawsze wiedzą, czy ich chętnie w dom swój przyjmą, albo pragnąc większego towarzystwa, idą do jedynego publicznego i wszystkim każdéj chwili przystępnego domu — do karczmy — nie tyle dla napitki, jak raczéj dla kompanii. — Otóż główny powód pijaństwa! Towarzyskość, rozmowność, najpiękniejsze zalety naszego ludu, stają się tym sposobem główną przyczyną ich zguby. — Doświadczenie tymczasem pokazuje, iż kiedy lud swojéj potrzebie towarzyskiéj w inny sposób i w innym miejscu, jak w karczmie, zadosyćuczynić ma sposobność, iż wtedy zupełnie od pijaństwa odwyka; co więcéj, przekonano się nawet, że tam, gdzie towarzystwo wstrzemięźliwości pijaństwa całkiem wykorzenić nie było w stanie, czytelnie parafialne, kółka towarzyskie tego dokonały.

Otóż jeżli gdzie, to tu pokazuje się, że ten największe zawsze osięga rezultata, qui miscuit utile dulci. Zaradzając potrzebie naszego ludu pod względem rozrywki przez podanie mu sposobności do pogawędki, do niewinnych gier i zabaw, wśród których także czytanie pism umieszczono, odwiedziono go od karczmy i najniebezpieczniejszego nałogu pijaństwa. Nie licząc straty czasu, przygód, nieszczęść i zbrodni z pijaństwa wynikających, to wieśniak lub rzemieślnik wyda nieraz w jednym dniu więcéj na trunki, niż przez cały rok na pisma. Jakkolwiek samo odwyknienie od pijaństwa zamienia najuboższe okolice w przeciągu lat paru w zamożne — to pisma jednakże przyczyniają się do wiele szybszego podniesienia naszego ludu. Wieśniak nawet dosyć zamożny, z początku ani kilka groszy na pisma chętnie nie wydaje, lecz skoro raz w nich zagustuje i korzyść ich pojmie, to nietylko chętnie daje składkę roczną, kilka trojaków albo kilka złotych wynoszącą, na czytelnią, ale nieraz i kilka talarów rocznie łoży na zakupienie książek, które go pomimo tego ani w dziesiątéj części nie kosztują tyle, co karczma go kosztowała. Cóż więc dziwnego, jeżeli w skutek ciągłego kształcenia się, za pomocą pism i książek, lud najnędzniejszy, zepsuty i ciemny w przeciągu lat kilkunastu przychodzi, jak w Łużycach, do wysokiego stopnia moralności, oświaty i zamożności?

Przy takich zaś okolicznościach i literatura niezmiernie odnosi korzyści. — Bo przypuściwszy, że w każdéj parafii, nie w każdéj wsi, istnieje czytelnia i że tylko tyle sprzedaje się pism i książek dla ludu, ile jest parafii w d. Polsce, to w takim razie czyni to już około 20,000 egzemplarzy, gdyż rachując na każdą parafią w przecięciu 1000 dusz, to na 20 milionów wypadnie 20 tysięcy parafii. — Cóż więc dziwnego, że w Czechach, gdzie nietylko prawie po wszystkich wsiach istnieją biblioteki i czytelnie ludowe, ale każdy nieomal wieśniak i rzemieślnik przynajmniéj jedno utrzymuje dla siebie pismo czasowe i po kilka rocznie kupuje książek; cóż dziwnego, mówię, że w Czechach pisma i książki ludowe rozchodzą się stami tysięcy? Ileżby u nas rozchodzić się mogło, gdzie ludność jest cztery razy większa!

Otóż tajemnica wskrzeszenia narodowości i literatury łużyckiéj, słowieńskiéj i czeskiéj; tajemnica trzeźwości, moralności, oświaty i zamożności tamecznego ludu, jako też codzień większéj przewagi żywiołu narodowego nad obcym! Tego rodzaju praca nad dobrem ludu jest najdecydywniejszą ze wszystkich walką o znaczenię i potęgę każdego narodu.

Niepomyślne wiadomości o wyprawach, przedsięwziętych w celu odkrycia nieznanych okolic świata.

Rok 1861 pod względem geograficznych odkryć zawiódł nasze nadzieje; spodziewaliśmy się bogatych plonów, a doznaliśmy tylko smutnego zawodu. Porobiono olbrzymie przygotowania do dwóch wypraw, mających rozstrzygnąć wszelkie wątpliwości co do niektórych nieznanych nam części świata, i okrążywszy brzegi europejskie i amerykańskie dążyć ku biegunowi północnemu. Pięć rozmaitych towarzystw ułożyło projekt dotrzeć aż do źródeł Nilu, przedrzeć się przez całe państwo chińskie ze Wschodu na zachód aż do Himalai, zwiedzić w dwóch kierunkach południowe i północne wybrzeża Australii, lecz wszystkie te śmiałe przedsiewzięcia skończyły się na niczem. Szwedzka wyprawa Torella do bieguna północnego, przedsięwzięta z nadzwyczajnie wielkim kosztem i siłami, nie osiągnęła także głównego celu. Okręta przeszło miesiąc stać musiały w zatoce Treurenberg na północnych wybrzeżach Spitzbergu, otoczone zewsząd górami lodu, a dalszéj podróży ku biegunowi także musiano dla idącéj kry zaniechać.

Równocześnie dochodzi nas wiadomość że Sarel, Blakiston i Dr. Barton powrócili 23 lipca do Shanghai, nie zdoławszy się dostać do zachodniéj granicy państwa Chińskiego. Dotarli oni aż do Ping-schan, leżącego o dwa dni drogi powyżéj Siu-tscheu, w prowincyi Sze-tschuan (20 maja) i wszelkich dokładali starań, ażeby się dostać do Tsching-fu, stolicy tejże prowincyi, lecz szerzące się tamże powstanie, niemożebnem uczyniło wykonanie tego przedsiewzięcia i nasi podróżnicy widzieli się być zmuszeni powrócić do miasta, z którego puścili się w tę podróż.

Smutniejsze jeszcze dochodzą nas wiadomości z Australii. Z nadzwyczajnemi kosztami przygotowana wyprawa, składająca się z mnóstwa ludzi, wielbłądów i koni, wyruszyła w sierpniu 1860, pod dowództwem O'Hara Burke, z Melbourne w głąb kraju, mając na celu ustalenie drogi do zatoki Carpentaria, i powróciła 17 Czerwca 1861 nad rzekę Darling, w jak najsmutniejszym stanie. Pozostawiwszy część swoich ludzi w Menindie, nad wyższym Darling, dotarł Burke z kilku swemi towarzyszami aż do Cooper-Creek, zkąd miał zamiar w dalszą puścić się drogę. Pozostawiwszy tamże kilku ludzi pod dowództwem Brahes'a, puścił się z Willsem, Kingiem i Grayem, z sześciu wielbłądami, jednym koniem i zapasem żywności na trzy miesiące, ku północnym wybrzeżom a mianowicie ku Sturt's Eyre-Creek, lecz od tego czasu nie dał już żadnéj wiadomości o sobie. Brahe czekał na jego powrót aż do 21 Kwietnia, lecz dłużéj nie mógł z powodu chorób grasujących pomiędzy powierzonemi mu ludźmi, nieprzyjaznego usposobienia krajowców i zupełnego braku żywności, cofnął się więc do 29 kwietnia do Bulla na południe od Cooper Creek, gdzie także przybyła reszta osady pozostawiona w Menindie. Wszyscy znajdowali się w jak najopłakańszym stanie, Purcell i Doktór Ludwik Becker, jeden z najbardziéj przedsiębiorczych członków Towarzystwa, który zjednał sobie już głośne imie tak w Australii jak i w Europie, przez swe naukowe prace, zachorował na skorbut i prawie wszyscy ludzie z osady byli chorzy. Z największemi więc trudnościami walcząc powróciły się obydwa połączone oddziały pod dowództwem Wrighta nad rzekę Darling, straciwszy w drodze dwóch ludzi, Pattona i Stonego, resztę uratował od niechybnéj śmierci orzeźwiający powietrze deszcz. Los Burkesa i jego trzech towarzyszy napełniał wszystkich największą obawą; tylko na trzy miesiące byli w żywność zaopatrzeni, a tu już pół roku upłynęło, jak żadnéj nie dawali o sobie wiadomości, cudem tylko lub jakim szczęśliwym trafem mogli się od śmierci uchronić. Komitet Expedycyjny w Melbourne zajął się zaraz środkami do odszukania przepadłych bez wieści podróżników. Wysłano parowiec „Victoria“ do zatoki Carpentaria, a lądem wysłano 3 lipca nową wyprawę pod dowództwem A. Howitta, ażeby starali się odkryć ślad Burkesa i jego towarzyszy.

Nieszczęśliwy wypadek wyprawy Burkesa i spełznięcie na niczem śmiałych planów Torella i Blakistona, są wielkiemi dla badań naukowych ciosami, lecz zarazem dowodem, iż pomimo wszelkich przygotowań, nie można obrachować, jaki obrot wezmą takie wyprawy. Rok 1861 zdaje się niesprzyjać tego rodzaju ekspedycyom, gdyż nawet wielu łatwiejszych przedsięwzięć zupełnie się nie udało. I tak Wilhelm Heine nie mógł się dostać z Pekinu do Syberyi drogą, tak często przez Rosyan zwiedzaną, Lejean, podróżujący po Afryce, musiał dla choroby powrócić do Francyi, z drugiéj podróży Mianisa do wyższego białego Nilu także zdaje się nic nie będzie, Duveyrier zmuszony został z Rhat powrócić do Murzuk i Tripolis, Livingstone zdołał zaledwie kilka mil za Ruvuma się posunąć. Afryka stawia badaniom Europejczyków niczem nieprzeparte przeszkody, i bardzo rzadko komu uda się zdobycz jaką naukową w téj części ziemi odnieść. Od czasu pierwszych przedsiewzięć Bartha i Livingstona, znaleźli już w niéj śmierć Vogel, Neimans, Boscher, Cuny, von Barnim. V. der Decken, pomimo wielkiéj energii i środków, zdołał dotrzeć tylko po za Kilwa, leżące na drodze do Niassa, Anderson napróżno silił się dostać z kraju Damara do Cunene, hrabia Escayrac powrócił już ze swéj wyprawy do Kairu, niczego nie dokazawszy, Francuska wyprawa do Abissynii pod dowództwem kapitana Russel dotarła tylko do Halai, Baikiesa prace nad Nigrem, które stosunkowo łatwemi się być wydają, także idą niepomyślnie, sam nawet Livingston bardzo mało nam nowości z dziedziny odkryć udzielił.

Lecz te niepowodzenia niepowinny śmiałych podróżników zrażać, gdyż dochodzą nas i pomyślne wiadomości, których się nawet wcale nie spodziewaliśmy. W północnéj Ameryce zrobił Palliser wiele ważnych odkryć, w południowéj Ameryce osiągnęli v. Tshudi i Burmeister obfite plony, w Australii zwiedził Stuart najnieprzystępniejszą część kontynentu, w głębi Azyi porobili bracia Schlagintweit wiele ważnych dla nauki odkryć, w Japonii ofiarował niedawno angielski poseł Alcock z jeneralnym konsulem Niederlandzkim de Witt, angielskiemu konsulowi w Nagasaki, Panu Morison, innym członkom poselstwa i rytownikowi „Illustrated London News“ opis podróży odbytéj lądem od Nagasaki aż do Kanagawa, w Afryce wreszcie udało się Burtonowi i Spekemu dotrzeć szczęśliwie aż do morza wewnętrznego, o które tyle toczyło się kwestyj, zaniechać przecież musieli przebycia pustyni Somali i gór śniegowych. Kilku francuzkich oficerów dotarło w głąb zachodniéj Sahary kraju nad źródłami Senegalu i Gambii, Duveyrier wiele porobił odkryć w swoich wyprawach do północnéj Sahary. Francuscy i włoscy misionarze osiedli stale w Kaffie, v. Beurmann zwiedził sam, bez żadnéj pomocy niedostępne krainy Nilu, Munziger ciągle jeszcze pracuje nad obeznaniem się z okolicami graniczącemi z Abissynią. Missyonarze wreszcie i różni podróżni dają nam opisy krajów na zachód od białego Nilu położonych

Pomyślne te wiadomości obudzają nadzieje, iż i obecnie przedsięwzięte wyprawy również się udadzą. Dr. Hayes zdoła się może o kilka stopni więcéj do bieguna zbliżyć, jak to dotychczas był w stanie uczynić, może Stuart zdoła zwiedzić cały kontynent australski, może Speke lub Dr. Peney dostanie się od Victoria Nianza do białego Nilu. Nie brakuje też na nowych, dopiero co zaczętych lub dopiero projektowanych wyprawach. Frank Gregory puścił się 20 Kwietnia w towarzystwie James Turnera, J. M. Court, E. Brockmana i jednego górnika w podróż do Zachodniéj Australii kosztem angielskiego rządu i osad. Rząd indyjski wysyła nową ekspedycyą w celach naukowych pod kapitanem Smith, któremu mają towarzyszyć kapitan Jerdon jako botanik i kapitan Basevi jako astronom i meteorolog, przez Tybet do Yarkandu i Gór Niebieskich, i drugą pod dowództwem Dr. Williams z Assam do południowo zachodniéj prowincyi chińskiéj Yünnan. W Chinach odbyto podróż z Kantonu do Hankau nad rzeką Jang-tse-kiang, i kilku missyonarzy zwiedziło wschodnią część prowincyi Canton. Baron v. der Decken znalazł wreszcie towarzysza w geologu Thornton, ktory należał do wyprawy Livingstona i teraz ofiarował się towarzyszyć bar. Decken w jego podroży do gór śniegowyeh w Afryce wschodniéj. Krapf zamierza powtórnie puścić się ze wschodnich wybrzeży aż w głąb Afryki. Hr. Thürheim, znany ze swéj podróży do krain nad Nilem leżących, wybrał sobie południową

Afrykę za pole swych geograficznych poszukiwań. Wysłano także z Niemiec ekspedycyą w celu dowiedzenia się czego o losie Edwarda Vogel.

Korespondencye.

Wiedeń dnia 10go Marca 1862.

— ? — Zamiast z Krakowa, odzywam się z Wiednia, dokąd mnie okoliczności niedawno zapędziły i gdzie mnie zapewne jeszcze jakiś dłuższy czas zatrzymają. Korzystając tedy z pobytu tego, donoszę o czasopismach, wychodzących obecnie w Południowéj Słowiańszczyźnie, a czynię to w nadziei, że me doniesienie zajmie Czytelników Tygodnika.

Nim zaś do rzeczy przystąpię, chcę szanown. Czytelników krótkiem uprzedzić wspomnieniem, co pod Południową rozumiem Słowiańszczyzną. Otóż rozumiem lud słowiański, zamieszkujący Styryą poniżéj Gradca, potem Karyntyą, Krainę, Gorycyą, wraz z Nadbrzeżem tergiestowskiem, daléj Dalmacyą, Istryą, Kroacyą, Słowenią, Wojewodzinę serbską, wraz z Pograniczem wojskowem; a więc tedy kraje, będące obecnie pod panowaniem rakuzkiem; w końcu atoli Bółgaryą, Serbią, Bośnią, Hercogowinę, Czarnogórze, wraz z kawałkiem Albanii; a więc znowu obszar krajów sięgających po za Bałkan aż do Archipelagu, a zostających podziśdzień mniéj lub więcéj pod berłem sułtanów.

Jak widzimy, jest-to przestrzeń niemała, którą Słowianie w liczbie przeszło 10 milionów zajmują, a na któréj mogliby się jeszcze w podwójnéj liczbie uczciwie i wyśmienicie wyżywić, gdyby sprzyjające okoliczności swobodnie rozplemienić się im pozwoliły. Zaiste, są to prześliczne kraje, w których ziemia i niebo południowym błyszczą urokiem; w których zdroje i rzeki swe wodne daleko rączéj toczą kryształy; w których z jednego końca Czarne morze, a z drugiego Zadro-Adrya, owo przecudne morze słowiańskie, niby jacy stróże aniołowie, pilnują nietykalności południowych Słowian, a tajemniczo i niewzruszenie wskazują im wprawdzie jeszcze zamgloną, ale chwalebną przyszłość; w pośród saméj krainy téj płynie zaś poważny Dunaj, ta tradycya plemion słowiańskich. Tam znajdziesz nakoniec lud piękny, żwawy, bitny, zdolny, poetyczny, niecierpliwie wyglądający ziszczenia swych nadziei długo pielęgnowanych; tam znajdziesz nadobne czarnobrewy, pełne ognia i poświęcenia!

U tych to Słowian następujące wychodzą pisma:

I. Polityczne: W Krainie: Novice, poświęcone polityce i ekonomii, wychodzące od 20 lat raz na tydzień w Lublanie, redaktorem Dr. Bleiweis; najstarsze pismo słowiańskie na południu. W Dalmacyi: 1, Narodni list, pismo polityczne wychodzące w Zadrze (Zara), redaktorem Nodilo. 2, Glasnik dalmatinski, głos dalmatinski, trudni się także polityką, ale urzędową; wychodzi dwa razy na tydzień cyrylicą, również w Zadrze. — W Czarnogórze wychodzi: Czernogorski sokol, organ władzy czarnogórskiéj w Czetyni, stolicy państwa, cyrylicą. — W Kroacyi: 1, Narodne novine, dziennik polityczny, czcionkami łacińskiemi, redaktorem Demeter w Zagrzebie. 2, Pozor, wychodzi także w Zagrzebie, redaktorem Perkovac. 3, Sidro, kotwica, dziennik polityczno-narodowy, redaktorem Jakszić w Zagrzebie. — W Wojewodzinie serbskiéj: 1, Dnevnik, dziennik polityczno-narodowy, wychodzi w Nowym Sadzie cyrylicą, redaktorem Giwskovič. 2, Srbobran, obrońca serbski, wychodzi również w Nowym Sadzie, redaktorem Ninkovič. W Księstwie Serbskiem: 1, Srbska narodnošč, dziennik polityczny, wychodzący cyrylicą w Białogrodzie, redaktorem Kaczański. 2, Vidovdan, dzień ś. Wita, na pamiątkę konfederacyi serbskiéj, tegoż dnia potajemnie uskutecznionéj, do odzyskania niepodległości; wychodzi trzy razy na tydzień, jest półurzędowym; redaktorem Milosz Popović, cyrylicą w Białogrodzie. 3, Svetovid, dziennik, wychodzący cyrylicą w Białogrodzie dwa razy na tydzień; organ rządowy, redaktorem Andrić. 4, Srbske trgovacke novine, wychodzą w Białogrodzie cyrylicą, także dwa razy w tygodniu, traktują o polityce i o finansach. W Bółgaryi nie wychodzi, o ile mi wiadomo, podobno żadne czasopismo; ale dla Bółgarów wydają w Serbii i to w samym Białogrodzie, dziennik polityczny dwa razy w tygodniu cyrylicą, pod napisem: Danavski Lebed, Łabędź dunajski; potem także: W Carogrodzie wychodzi również dla Bółgarów dwa razy w tygodniu cyrylicą czasopismo polityczne pod tytułem Błgarija.

II. Czasopisma naukowe: w Krainie: 1, Szkolski priatel, poświęcony pedagogice, wychodzi w Lublanie, redaktorem Praprotnik. 2, Danica, jutrzenka, czasopismo kościelne, wychodzące także w Lublanie, redaktorem Seran.

III. Czasopisma literackie: w Karyntyi: Slovenski glasnik, poświęcony literaturze, wychodzi w Czelowcu (Klagenfurt), redaktorem Janežič. W Kroacyi: 1, Glasonosza, wychodzi w Karłowcu, redaktorem Abel Lukszić. 2, Nasze góre, poświęcone zabawie i literaturze, wychodzą w Zagrzebie z illustracyami. W Wojewodzinie serbskiéj: 1, Javor czasopismo literacko-humorystyczne, wychodzi cyrylicą w Nowym Sadzie, redaktorem Jankowić. 3, Komarac, komar, także dziennik literacko-humorystyczny, wychodzący raz w tygodniu w Nowym Sadzie cyrylicą.

Z tego spisu przekonywamy się, iż w całéj Południowéj Słowiańszczyźnie wychodzi razem 22 pism, z których, stósownie do rozwijającego się życia politycznego, 15 poświęconych polityce, 2 zawodowi naukowemu, a 5 literaturze i zabawie. Z wymienionych 22 dzienników wychodzi 9 czcionkami łacińskiemi, a 13 cyrylicą, stósownie do obrządku łacińskiego i wschodniego; ludność tedy obrządku wschodniego przeważa znacznie.

Język wszystkich wymienionych dzienników różni się także nieco podług kraju, w którym wychodzą; lecz pomimo różnicy ma bardzo wiele wspólnictwa w sobie, tak, że z małą ofiarą mógłby się z czasem wyrobić w jednolity piśmienny, przez co Południowa Słowiańszczyzna wielce zyskałaby na mocy i jędrności. Tym piśmiennym językiem może być tylko serbski, którym władają również Kroaci, Dalmatyni, Słowieńcy, Istryanie itp. — Czcionki stanowią pojednaniu dużą zaporę, bo z niemi łączy się obrządek; lecz zważywszy, iż abecadło łacińskie jest europejskiem, tuszyć można, że w przyszłości i tę ofiarę Serbowie zrobią dla podania bratniéj dłoni łacinnikom i dla wskrzeszenia wielkiéj myśli cara Duszana, która oby się jak najrychléj ziściła!

Redaktor i nakładca Dr. Kaźmierz Szulc przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 19. — Czcionkami A. Poplińskiego.